

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odosobnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 21 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 38 z dnia 22 września 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY

BRACKA 25

POLECA: WĘŁNY, BAWELNY, JEDWABIE, BIELIZNĘ I GALANTERJE; Damska, Męska, Dziecięca.

WYPRAWY ŚLUBNE od 1000 MK.

OKRYCIA
BEKIESZE
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZKI

OBUWIE:
Damskie i
Dziecięce.

SUKIENKI DLA PANIENEK - UBRANKA DLA CHŁOPCÓW - BEKIESZE - PALTOKI DLA PANÓW

10382

Narzędzia budowy Państwa Polskiego.

Dnia 15 września ogłoszono szereg dokumentów wagi historycznej, które akt listopadowy, ogłaszający niepodległość polskiego państwa, wprowadziły na drogę realizacji. Dają one konieczne narzędzia do budowania tego państwa, a więc komplet władz: nadzorczej, prawodawczej i wykonawczej.

Dwa listy cesarzów towarzyszą patentowi, te władze ustanawiającemu, który wydany został pod datą 12 września. Obaj cesarzowie spodziewają się rozwoju, a nawet rozkwitu państwa polskiego i są przekonani, że ich przyjaźń dla nas do tego dopomoże. Wyrażają oni przytem przekonanie, że te dobre ich uczucia znajdą dobre przyjęcie z polskiej strony.

Sam patent zawiera sześć artykułów.

Ustanawia on władzę zwierzchnią w kolegiatnej rejenturze, z 3-ch członków złożonej, wybranej przez Radę Stanu i wprowadzonej przez monarchów na swój urząd. Ustanawia on władzę prawodawczą, w formie nowej, decydującej tym razem prawami obdarzonej Rady Stanu, która będzie bezpośrednią zwierzchniczką i zastępczynią polskiego sejmiku. Ustanawia wreszcie władzę wy-

konawczą, w formie odpowiedzialnego ministerjum, zostającego pod przewodnictwem prezydenta czy prezesa.

Podpis ministra jest niezbędnym do tego, aby akt Rady Stanu otrzymał moc aktu prawnego. Przez co patent wprowadza do naszego ustroju porządek konstytucyjny.

Cały ten ustrój jest zresztą tymczasowym. To go w wysokim stopniu charakteryzuje. Stan wojenny nie pozwala na instytucje państwowe polskie, w całości rozwinięte. I dlatego otrzymujemy je, wedle lojalnego oświadczenia organu kanclerza, „Nordd. Allg. Ztg.,” jako „niedorozwinięte”. Więc znaczna część władzy w kraju została zatrzymana w ręku p. jeneralnego gubernatora; więc ministerja polskie tworzyć się będą stopniowo, choć, mamy tę dobrą nadzieję, nie powolnie jednak, więc p. jeneralnemu gubernatorowi przyznane zostało prawo „veta”; więc nasze władze przed skończeniem wojny nie będą posiadały prawa do wchodzenia w układy ani w umowy z rządami państw obcych.

Jednak rejencja powstanie natychmiast. To już w naszych leży rękach. Przed wieczorem dnia 15 b.

m. komisarze państw centralnych stanęły przed Komisją Likwidacyjną i zażądały wskazania regentów. I parę ministerjów powstanie bez zwłoki. Sądownictwo znajduje się już w polskich rękach; szkolnictwo jest już urzędownie przekazane na dzień 1 października. A więc dwa ministerja powstaną zaraz po utworzeniu Rady Regencyjnej. Wraz z prezydenturą gabinetu.

Natomiast nie odrazu powstanie Rada Stanu. Wymagana jest naprzód ustawa dla niej, a dla tej ustawy wymagana jest zgoda rządów okupacyjnych. Ale ta praca, nie wątpimy, pójdzie już teraz szybko.

Uroczystość ogłoszenia aktów monarszych odbyła się na zamku warszawskim, przyczem akty zostały odczytane w językach niemieckim i polskim. Przyjawszy te akty, prezes Komisji Likwidacyjnej, p. Mikułowski-Pomorski, wypowiedział mowę, w obu językach, w której złożył podziękowanie monarchom i wyraził, że w ten sposób „państwa centralne wypełniają nadzieje narodu polskiego i wzmacniają związek, który w przyszłości uzgodni politykę państwa polskiego z ich polityką”. Generał v. Beseler wypowiedział potem mowę, w której podkreślił, że monarchowie państw centralnych i ich rządy „zamierzają powołać do życia wolne, niezależne państwo polskie, istotnie pod wyraźnym wpływem „swobodnej decyzji” i „bez zastrzeżeń”. Dodał przytem, że Polska ma rozwijać swe siły „w związku i

przy pomocy państw centralnych“, a także i „pod ich kierunkiem“.

Omawiając te akty, słusznie doradzono społeczeństwu naszemu z polskiej strony, abyśmy je „mierzyli ilością pracy, jaką potrafimy włożyć w budowę państwa“. Przekonamy

się wtedy, że na każdego wypadnie dość roboty, dość obowiązku, dość żniwa i dość radości.

Przyszła istotnie chwila, utęskniona od tak dawna, w której możemy uderzyć „w strunę drugą“ — w czynów stal!

Tłuste lata naszej sztuki.

(Z tajemnic handlu obrazami).

Ostatnie niespodzianki walutowe, nagle i nieprzewidziane spadki, deprecjacja rubla, który dotychczas był czczony jako symbol nieprzemągliwego bogactwa wielkiej Rosji — dały wiele do myślenia ludziom posiadającym... za dużo pieniędzy. Od dłuższego już czasu pokój jawi się jedynym w postaci anioła, drugim szatana. Któż może przewidzieć, co się stanie, „kiedy pokój wybuchnie“. Wielka wojna europejska jest także fenomenem ekonomicznym — jej koniec znowu jednych wywyższanie, drugich strąca w przepaść niestnienia. I dlatego kapitały, które wyrosły podczas wojny, są niespokojne... coraz niespokojniejsze...

Tym się tłumaczy objaw powszechny wszędzie, a więc dążność do przemienienia pieniędzy na jakąś inną wartość, mniej zależną od nieobliczalnych kataklizmów i nieznanym wpływów.

I tak wzmógł się w ostatnich czasach w wysokim stopniu popyt na wszelką nieruchomość — ożywił się handel ziemią, a co najciekawsze zaczęto kupować w olbrzymich ilościach rzeczy antykwarskie, klejnoty i dzieła sztuki.

Tym to ciekawsze, że nabywcą najchętniejszym jest spekulant, świeżo zubożony dorobkiewicz, którego stosunek do sztuki jest najzupełniej obojętny, który zupełnie się na tym nie rozumiejąc, zapełnia swoje mieszkanie dziwacznym zbiorowiskiem rzeczy wartościowych, zupełnie lichych lub zręcznie podrobionych.

Wobec tak wielkiego popytu na obrazy wzmógł się naturalnie handel nimi, wzmogła się spekulacja, zrobił się na obrazy pasek.

Interesować nas musi przede wszystkim pytanie, czy zyskali cokolwiek na tym nasi malarze, którym podczas wojny zły los niejednokrotnie dawał się we znaki? Czy ten nieoczekiwany zwrot do sztuki u t. zw. „ludzi nowych“ poprawił przy-

najmniej los ludzi, przyzwyczajonych do ustawicznego borykania się z trudnymi warunkami życiowymi?

Niestety, odpowiedź nie jest zbyt pomyślna.

Ale nie uprzedzajmy faktów.

W Zachęcie Sztuk Pięknych.

Pan Krywult, dyrektor Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, ocenia sytuację naogół dość pesymistycznie.

— Los malarzy jest wogóle tak krytyczny — twierdzi on — jak wogóle krytycznym jest los całej inteligencji zawodowej. Malarze odczuwają przytem nie tylko drożyznę ogólną, ale także drożyznę materiałów do pracy. Farby doszły do cen nadzwyczajnych i wogóle niesłychanie jest trudno je dostać. A byt rzeźbiarzy, to już doprawdy *circulus vitiosus*. Jak pan wie, gipsów u nas chętnie nikt nie kupuje. Żeby jednak coś wyprodukować w marmurze lub bronzie, trzeba wielkich, bardzo wielkich wkładów, które mogą nie zawsze się opłacić. Nasza kolonja artystyczna, która wogóle niezbyt się zmniejszyła, odczuwa to przedewszystkiem, że dawni klienci ograniczają się w dochodach. Odpadł nie jeden portret, niejedne lekcje rysunków przestały istnieć.

— A sztuka dekoracyjna?

— Ta prawie zupełnie zanikła. Dzisiaj jeszcze się kościołów nie buduje, a więc ich malować nie trzeba. Trzeba natomiast przewidywać, że z chwilą odbudowy kraju zarówno dla rzeźbiarzy, jak i dla malarzy naszych nastaną błogie czasy.

— Cóż robi Towarzystwo w latach wojny?

— Działalność nasza nie ustaje ani na chwilę, staramy się pomagać, jak możemy. Stypendja i zasiłki trwają w dalszym ciągu. Oprócz tego Tow. nasze w miarę możliwości udziela wiele z bieżących wpływów na pożyczki i zapomogi. Nie licząc

stypendjów i zakupów, skromna nasza kasa wydała na same tylko pożyczki około 10.000 rubli.

— Jak się przedstawia wasz ruch sprzedaży?

— Popyt na obrazy spadł w stosunku do lat najlepszych, kiedy to sprzedawaliśmy już za siedemdziesiąt kilka tysięcy rubli rocznie. W ostatnim jednak 1917 roku sprzedaliśmy niespodziewanie bardzo dużo, bo już za zgórą pięćdziesiąt tysięcy rubli, a przecież mamy jeszcze cztery doskonałe miesiące. Kto wie, czy w roku obecnym nie osiągniemy nawet cyfry najwyższej!

— Czym to tłumaczyć?

— Jest to tendencja powszechna na całym świecie. Dążność do zamiany waluty na przedmioty zawsze i bezwzględnie wartościowe. Nie można jednak twierdzić, że jest to objaw ogólny. Gdyż w takim razie mielibyśmy do zanotowania cyfry daleko wyższe.

— A może powód tkwi w tym, że nabywcy obrazów rzadziej zwracają się do Zachęty, częściej gdzieś indziej!

— Być może. Do nas zwracają się ci, którzy się znają. Ale sądzę, że prawdziwi znawcy niezawsze są szczęśliwymi ryerczami szczęścia. Tak zwaną „nową ludzie“, których celem wyłącznym jest asekuracja, zwracają się do „nowych salonów sztuki“, których tak wiele powstało...

Tu p. Krywult zawahał się i dodał po chwili:

— Czy wogóle wskazanym jest tę sprawę publicznie poruszać?

— Ależ dlaczego pan tak mówi? — spytałem zdziwiony.

— Widzi pan, ja na handel obrazami patrzę od lat wielu. Uzbierało się mi dosyć gorzkich doświadczeń, zrosłem się z tą biedą artystyczną. I jeśli teraz widzę, że po latach chudych przyszły trochę tłściejsze, boję się o ich istnienie. Ten wzmógłony handel obrazami to kruche cacko, z którym trzeba obchodzić się delikatnie... ach, jak bardzo delikatnie. Jeśli wy, panowie piszący, zaczniecie być uszczypliwymi w stosunku do dorobkiewiczów, zapełniających swoje salony obrazami — to możecie ich łatwo zrazić. A przecież taki rezultat nie byłby wcale pożądanym.

— Przedewszystkiem należałoby udowodnić, że istotnie nasi malarze coś na tym skorzystali.

P. Krywult westchnął.

— Tak, to jest wątpliwe, niestety. Zarówno nowi nabywcy, jak i nowi sprzedawcy lecą na firmy. Te przepłacają nieraz w wysokim stopniu. I trzeba przyznać, że ich olbrzymie

obroty nie stoją nieraz w żadnym stosunku do korzyści, jakie z nich wyciągają nasi malarze. Niejednokrotnie też zdarzają się falsyfikaty. Zdarzało się już nieraz, że niektóre salony zmuszano sądownie do oddania pieniędzy za rozmaitych fałszywych Brandtów i Kowalskich.

— Cóż więc należy robić?

— Trzeba zachęcać przedewszystkiem tych, którzy chcą obrazy kupować, aby zwracali się przedewszystkiem do naszej Zachęty. Wtedy korzyść będzie obopólna.

Nowe salony.

W latach ostatnich powstał w Warszawie cały szereg nowych salonów. Są one w najrozmaitszym gatunku. Skromne, wspaniałe, ukryte w zaułkach i pyszniące się wspaniałymi napisami, olśniewające przepychem i okazałością wielkich wystaw.

Powodzenie swoje zawdzięczają pewnym szczególnym tajemnicom psychologicznym.

Powiedzieliśmy już, że nabywcami obrazów są najczęściej ludzie, którzy dotychczas ze sztuką nie mieli wspólnego.

Poza wyluszczeniemi już powodami decyduje w tym wypadku nieraz dorobkiewiczowska pycha, chęć błyszczenia i imponowania.

Jeśli jeden ze znanych paskarzy warszawskich sprawił sobie karetę ozdobioną koroną szlachecką, sądząc widocznie, że wszystko wyspekulować można — dlaczegożby jego koledzy po fachu nie mieli urządzać sobie salonów, ozdobionych obrazami pierwszorzędnymi malarzy?

Dla tych właśnie ludzi powstał szereg nowych salonów sztuki. Urządzone zawsze z przepychem i nadzwyczaj okazale, noszą piętno smaku dorobkiewiczowskiego w najbardziej stylowych nawet meblach (zawsze złożonych) i ozdóbach. Niejedne z nich, ukryte w zaułkach dzielnic żydowskich, przy ulicach, gdzieby istnienia ich nikł nie podejrzewał — otwierają się przed zdumionym przybyszem, jak Sezam pełen skarbów i bogactwa.

Oto Brandt, Kowalski, Czachórski, Malczewski, Fałat, Podkowiński, Aksentowicz, Wojciech Kossak, Żmurko, Masłowski... nawet Wyspiański... nawet Matejko...

A przytym starą porcelaną wszystkich epok, rodzajów i gatunków, zegary, świeczniki, figurki, makaty i te wszystkie rozkoszne drobiazgi, któ-



Rakiety oświetlają w nocy pole walki.



Działalność kawalerji na froncie francuskim: ludzie i konie w maskach ochronnych.

re prawdziwie ocenić umie namiętny zbieracz, co jak nurek zamurza się w otchłań przeciętności, aby wydobyć z niej cudowną, jemu tylko błyszczącą perłę niezwykłej wartości.

I nawet dziś jeszcze, w epoce najżywszego powodzenia handlu antykwarskiego, prawdziwy kolekcjonista odkryje tu zawsze jakiś okaz niepospolity, obok którego inni przechodzą obojętnie, najmniejszej nie zwracając uwagi.

Stalą klientami tych „salonów sztuki“ są ludźmi, których się tu prawie nigdy nie widzi. Transakcje bywają

przeprowadzane cichaczem, prawie pokryjonom. „Nowy człowiek“ nie pójdzie kupić sobie obrazu do salonów Zachęty. Tam bowiem trzeba być jakim takim znawcą, trzeba oprzeć się na własnym smaku, trzeba wybrać ze stu obrazów jeden, trzeba się do pewnego stopnia obnażyć, zdradzić.

A przytym jakże łatwo się skompromitować i ośmieszyć.

Zresztą „nowy człowiek“ chce mieć wszystko w najlepszym gatunku, chce mieć tylko „firmy“, a Zachęta niezawsze ma firmy.

I tym się tłumaczy właśnie, że wzmożony popyt na obrazy nie polepszył w nieczym bytu malarzy.

Handluje się bowiem najczęściej i najżywiej umarłym markami. Tylko kilku ze współczesnych malarzy zostało łaskawie wprowadzonych na rynek.

Wojciech Kossak i Fałat największe mają powodzenie, a ich pracownice zarzucone są niezliczoną ilością obstalunków.

Z młodego pokolenia jeden tylko Boruciński jest en vogue. Stało się to przypadkiem, co zresztą nie jest żadną ujmą dla jego wybitnego talentu.

Falszywe „firmy“.

Jasnym jest, że tam, gdzie jest tak wielkie zapotrzebowanie na dzieła naszych mistrzów, musiały się naturalnie pojawić i falsyfikaty.

Skądże bowiem wziąć tak wielką ilość Brandtów, Kowalskich, Czachórskich, Aksentowiczów i Żmurków — jakiej potrzebuje nienasycony rynek.

Trzeba jakoś sobie poradzić. Od dłuższego już czasu istnieją i energicznie działają fabryki obrazów. Są to przedsiębiorstwa zbiorowe i indywidualne, krajowe i zagraniczne. Wielkie warsztaty fałszywej sztuki w Wiedniu, Monachjum i Berlinie dostarczają na rynek warszawski Brandtów, Kowalskich i Czachórskich. W Krakowie i Warszawie robi się przedewszystkiem Aksentowicz i Żmurko. Niema takiej chwili, aby w salonach warszawskich nie znajdowała się większa ilość falsyfikatów. O ich istnieniu świadczą zresztą najlepiej kroniki naszych sądów, które raz po raz mają do czynienia z jakąś sprawą w tym rodzaju.

Zdarza się naturalnie rozmaicie. Czasami właściciel salonu wie dobrze, co ma w ręku, czasami i on pada ofiarą.

Opowiadał mi jeden z malarzy następującą historię:

— Byłem raz u p. A. G., znanego handlarza obrazów, późnym wieczorem w poszukiwaniu jakiejś ciekawej porcelany. I w czasie mojej obecności zajechał przed sklep jakiś jegomość młody i elegancki. Kiedy wszedł do sklepu z miną pewną i butną, rzucił na ladę rulon zwinięty i rzekł krótko:

— Sześć Aksentowiczów!

Kiedy handlarz rozłożył płótna, poznałem na pierwszy rzut oka, że to falsyfikaty, choć nader udatnie były podrobione. Rozpoczął się targ. Przybysz żądał po 600 rb. za sztukę.

Wreszcie stanęło na 400 rb., to jest razem 2,400 rb. Okazało się, że handlarz nie ma tyle pieniędzy. Młody człowiek zrobił się dziwnie niespokojny. W końcu wziął gotówką 1,000 rb., a resztę rozmaitymi przedmiotami wartościowymi. Widać było, że mu się spieszyło piekielnie. I do dziś dnia nie mogę zrozumieć, dlaczego handlarz tak doświadczony tak łatwo dał się oszukać. To dowodzi, że nie tylko się nie znają, ale, że zaślepią ich chciwość wtedy nawet, kiedy wystarczyłoby uważnie obserwować.

Trzeba tu jeszcze dodać, że podrabianie obrazów nie jest rzeczą łatwą. Są specjalne talenty odtwórcze i to talenty nieraz nie bylejakiej miary. Do dobrego naśladowstwa trzeba tyleż temperamentu artystycznego, co i do własnej kompozycji.

Jest więc to najczęściej praca okupiona znacznymi zdolnościami i poważnym wysiłkiem pracy.

Szkoda nieraz, że służy celom tak pospolitym!

Cui bono?

Trzeba jednak stwierdzić, że do owych salonów sztuki przeważna część obrazów nie dostaje się ani z pracowni artystów ani z pracowni fałszerzy.

Najpoważniejsze źródło jest zupełnie inne.

Dosyć spojrzeć na ściany salonów, aby się przekonać, że wielka ilość tych dzieł sztuki znaną nam jest oddawna. Te głowy, te pejzaże, te szkice i kompozycje należą do epoki minionej. Mówią historje dawno już przebrzmiałe, są świadectwem tryumfów, które odgrzebujemy w dawnych wspomnieniach. Jedne znamy doskonale z wystaw, drugie z rozlicznych reprodukcji, a inne widzieliśmy w domach naszych znajomych i przyjaciół. I nieraz mimowoli przyjdzie na myśl, że na tych ścianach wiszą nie tylko obrazy, ale ciche dramaty wielu rodzin niegdyś zamożnych, niegdyś cieszących się dobrobytem, przesyconym zamilowaniem dla sztuki.

Może ten właśnie obraz wisiał w pracowni człowieka, który po znużonym wysiłku lubił się przy nim zadumać. A tamten może pamiętał ciche rozmowy godzin przedwieczornych, albo jaśniał w świetnym salonie. Może ta głowa subtelna zdobiła pokój młodej dziewczyny i była wątkiem jej marzeń jeszcze nie zaspokojonych.

I oto one wszystkie, około których oplatała się już jakaś historia i które stały się szarmonizowanym tonem jakiejś całości, wyruszyły z cichego schronienia na nowe koleje.

To są także dramaty wojenne, dramaty obrazów!

Będą wisieć w salonach zubożonych spekulantów, otoczone przepychem martwym, będą podziwiane, obmacywane grubymi łapskami, oglądane setkami spojrzeń bezmyślnych i nieczułych na ich piękno. Staną się bezsprzeczną i bezsporną własnością „nowych ludzi“ — na długie lata...

Jest to stara historia... Wojna jednych wywyższa, drugich poniża.

Niepodobna się temu dziwić.

Należy tylko o jednym pamiętać.

Mówi się i wierzy powszechnie, że dziwnym zrządzeniem losu nastąpiły tłuste lata dla sztuki i artystów.

Nie trzeba w to wierzyć! Lata są chude tak, jak były. Deszcz złota przepływa obok pracowni malarskich, zawadza tylko o niektóre. Los ogółu malarzy nie uległ żadnej poprawie. Dzieło sztuki stało się jedynie przedmiotem spekulacji.

To wszystko!

Obraz nabyty z licytacji, obraz kupiony od rodziny zubożałej jest podstawą tego handlu, który nieczym się w zasadzie nie różni od jakiejś spekulacji mącznej czy cukrowej.

Zapewne ci właściciele salonów, ci prawdziwi potentaci sztuki, mogliby zrobić wiele dla jej dobra. Wystarczyłoby nieraz jedno ich słowo, aby wydobyć z zapomnienia niejednego talent marniejący i stworzyć mu potrzebne warunki do dalszego rozwoju.

Ale to nie jest i nie będzie nigdy celem ich ambicji...

St. Dz.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał IV-ty r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.

Administracja „ŚWIATA”.

Czym jest miasteczko polskie, wiemy wszyscy doskonale. Ile zaś jest do zrobienia na tym polu, wiedzą wszyscy ci świadomi obywatele, którym na sercu leży przyszłość rozwoju naszego narodowego. Miasteczko polskie przez ostatnie sto lat leżało zupełnie odlegiem. Administracja rosyjska tłumiała wszelki ruch, dążący do podniesienia kultury tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Miasteczko polskie wskutek tego rodzaju gospodarki wpadło w stan beznadziejnego wyjąłowania, obracało się w sferze plotki, a kroczyło po błotnistych, wyboistych ulicach, tonęło w ciemnościach.

Warto jest jednak zapoznać się z historią polskiego miasteczka. Posiada ono przecież w dziejach naszych swoją odrębną kartę. Miasteczko polskie architektonicznie było też wyraźnym dowodem oryginalnej twórczości narodowej w sferze budowlanej. Kwitnęły tu rzemiosła, rósł handel. Dopiero w ostatnim stuleciu miasteczko polskie stało się siedliskiem wszelkiego rodzaju pośrednictwa, znajdującego się w obcych rękach. Rzemiosła zaczęły upadać, a handel ograniczył się do bardzo nikłych tranzakcji, opartych na potrzebach chłopskich.

Kwestja miasteczka polskiego jest bardzo żywotną sprawą naszą. Myśleć o niej trzeba już chociażby ze względu na nienormalny stosunek liczebny między ludnością rdzenną a napływową. Dzięki temu, niektóre miasteczka polskie, jak np. Będzin, oddane są na łaskę i niełaskę większości obcoziemnej...

Chcąc zapewne na sprawy te zwrócić uwagę szerszego ogółu, p. Zdzisław Dębicki napisał bardzo interesującą książeczkę p. t. „Miasteczko”. Dołę miasteczka naszego rozpatruje on ze wszystkich możliwych stron. Całość swoich rozmyślań zamyka w rozdziałach: „Odbudowa i przebudowa”, „Głos przeszłości”, „Żydzi”, „Miasteczko a wieś”, „Inteligencja małomiejska”, „Stan urzędniczy na prowincji i wychodźczy z miast wielkich, jako czynniki kultury”, „Ambicje małomiejskie” oraz „Polityka gminy małomiejskiej”.

P. Zdzisław Dębicki pragnąłby podźwignięcia poziomu kulturalnego miasteczka polskiego w najszerszym tego pojęcia rozumieniu. Chodzi mu więc o wygląd zewnętrzny, o zachowanie stylu narodowego w budownictwie, chciałby widzieć wszystkie miasteczka w stanie najlepszych warunków higieniczno-sanitarnych. Radzi roztoczyć opiekę nad handlem i pośrednictwem, żąda też popierania rzemiosła. Szkolnictwo i wogóle wszelkie życie oświatowe znajduje w p. Dębickim gorącego rzecznika.

Polityka gminy małomiejskiej musi wytrwale zdążać w tym kierunku. Miasteczko polskie winno stać się współtwórcą kultury narodowej.

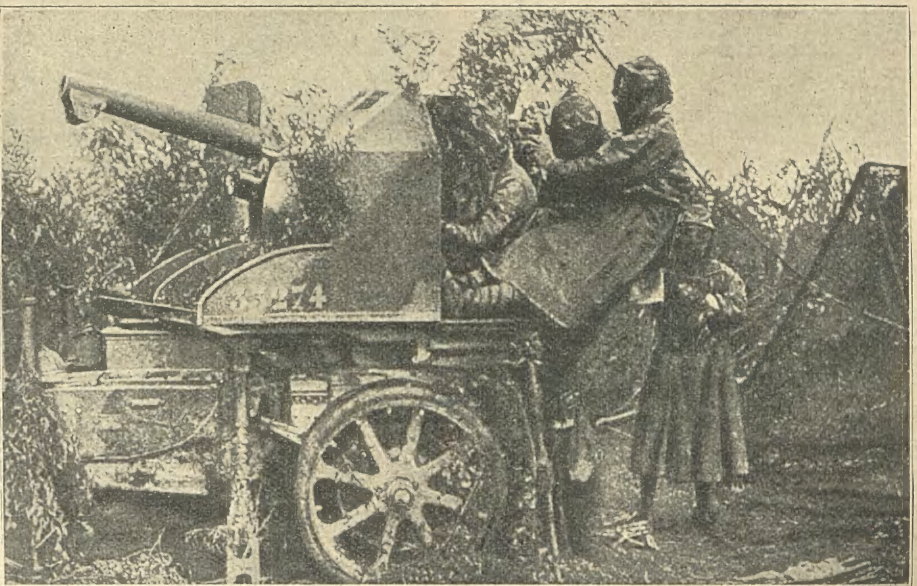
Publikacja p. Z. Dębickiego jest bardzo ciekawym przyczynkiem do rozważań nad miasteczkiem naszym. Zapewne zainteresują się nią radni i świetli obywatele tych właśnie miasteczek. K. Ls.



Jak wygląda las po ogniu huraganowym.



Jedenasta bitwa nad Isonzo. Piechota austriacka w stalowych hełmach ochronnych na głowie.



Zamaskowane działo francuskie do strącania aeroplanów.

Dziennikarstwo jest jednym z najtrudniejszych zawodów. Wymaga od człowieka poświęcającego się tej specjalności niezwyklej przytomności ducha i wielkiej wrażliwości umysłu. Ciekawość życia musi w dziennikarzu grać nieosłabionem tętnem. Powinien wszystko widzieć, a obowiązek jego jest informować ogół o wszystkim.

Dziennikarstwo posiada za to wielką dodatnią stronę: daje zadowolenie, jakiego inny zawód dać nie może. Widzi się natychmiast prawie rezultat swojej pracy, osiąga się moralną satysfakcję. Dziennikarz przytem jest typem najbardziej „modern” człowieka. Świadomie przeżywa syntezę dziejową swojego czasu. Zagląda do pracowni uczonego, artysty, jest przy ramieniu polityka, bacznie patrzy na wysiłek przemysłowca, bankiera, rzemieślnika. Zewsząd wydostaje życiodajne ziarna i rzuca je w uprawną glebę swego społeczeństwa. Budzi życie, nawołuje do życia, tworzy życie.

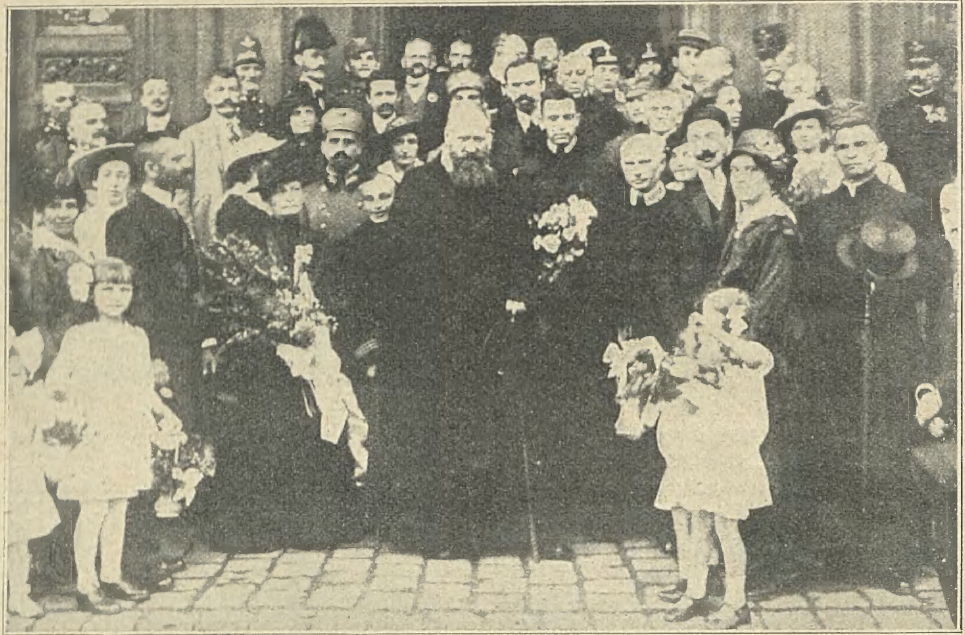
Nie łatwo więc jest zostać dziennikarzem. Potrzebne są na to specjalne studia.

U nas w Polsce dziennikarstwo jest w przededniu dużego rozwoju. Po wojnie w wolnej Polsce zapotrzebowanie na dziennikarza wzrosło. Trzeba więc już teraz przygotować zastęp ludzi, mogących pracować z pożytkiem w tej gałęzi życia zbiorowego.

Sprawę tę podjął znany publicysta i świetny dziennikarz, Wincenty Kosiakiewicz, powołując do życia przy Kursach Naukowych Warszawskich szkołę dziennikarstwa. Niema w Polsce dziennikarza, któryby dorównał Kosiakiewiczowi wrażliwością umysłową i encyklopedycznością wiedzy. Jest więc on jedynym może fachowcem, który nadaje się na profesora. Wszechstronne doświadczenie swoje będzie mógł z pożytkiem dla przyszłości obrócić na wykształcenie zastępu ludzi fachu...

Szkoła dziennikarstwa przytem tak, jak ją pojmuje W. Kosiakiewicz, czemu daje wyraz w swoim prospekcie, będzie mogła też służyć politykom oraz wszystkim tym ludziom, którzy szukają busoli w rozumieniu zjawisk życia. P. W. Kosiakiewicz tego rodzaju kandydatów podciąga pod nową kategorię słuchaczy. Piszę o nich:

„To ludzie więcej wolni od innych w tem znaczeniu, że w uczelni wyższej nie potrzebują szukać ani środków do za-



Arcybiskup Szeptycki, witany przez ludność Lwowa, na dworcu kolejowym.

Poświęcenie kościoła.



W niedzielę, 26 sierpnia r. b., ks. kanonik Ignacy Jasiński, dziekan Węgrowski i proboszcz Korytnicki, z upoważnienia władzy djecezjalnej, poświęcił nowowzniesiony kościół pod wezwaniem Najświętszej Panny, we wsi Kąty. Kazanie wygłosił do licznie przybyłych z okolicznych parafji wiernych ks. Ignacy Cyraski ze Starej Wsi.

robkowania, ani pomocy dla swych ambicji. Ukształceni już, inteligentni, czują się oni zaniepokojeni, — a jest to pewno najwyższy gatunek niepokoju, — tem, że ze wszech stron życie poznawane przekracza ich rozumienie, że wyrósł zbyt znaczny odsetek między tem, co widzą, a tem, co mogliby widzieć. Pragną lepiej rozumieć życie, choćby dlatego, aby lepiej smakować życie.

Aktualizm i encyklopedyzm naszej uczelni czyni ją zgoła przydatną dla nich!”

Jak widzimy więc, Szkoła dziennikarska ukształcona jest na bardzo dużą miarę. Sądźmy, że znajdzie żadnych wiedzy słuchaczy. Nadmienić bowiem należy, że obok p. W. Kosiakiewicza rekt. St. Kempner wykladać będzie: „Organizację pracy redakcyjnej“.

Dawno już z desek opery warszawskiej nie przemawiał twórca „Pałacu Lucypera“, poeta „Jadwigi“. 18 września r. b. minęło sześćdziesięciolecie śmierci Karola Kurpińskiego. Jubileusz ten godnie obchodzono w naszej operze, która znajduje się obecnie pod dyrekcją p. Korolewicz-Waydowej. Dano „Bojomira i Wandę“ oraz fragment baletowy p. t. „Helada i Polonia“. Słowo wstępne wygłosił p. Cezary Jellenta.



Karol Kurpiński.

Popłynęły natchnione dźwięki najzdolniejszego przed Moniuszką kompozytora operowego polskiego. Jego „Jadwigę“ słusznie uważa się za klejnot polskiej muzyki. Wielkim powodzeniem cieszyli się też niedawno wznowieni na deskach Teatru Polskiego „Krakowiaczy i Górale“.

Kurpiński zdobył sobie uznanie i pamięć potomności nie tylko jako kompozytor. Był przez cały szereg lat pierwszym kapelmistrzem opery warszawskiej. Jego energii zawdzięcza Warszawa swoją kulturę muzyczną. Za jego kapelmistrzostwa repertuar opery stał na poziomie teatrów zagranicznych. Kurpiński wprowadził na afisz „Don Juana“, „Tancredi“, „Westalkę“, „Niemą z Portici“.

Kurpiński urodził się w 1785 roku we wsi Włoszakowie, ziemi Poznańskiej. Pierwsze nauki pobierał od ojca. Już w 12 roku życia samodzielnie organmistrzował, dyrygował orkiestrami. Później dostał się na dwór starosty Polanowskiego, który słynął ze swoich upodobań muzycznych.

Po śmierci starosty Polanowskiego Kurpiński dostał się do Warszawy. Otrzymał tu posadę drugiego kapelmistrza i korepetytora.

Poczet oper Kurpińskiego składa się z dzieł kilkunastu. Należą do niego „Szarlatań“, „Łaska Imperatora“, „Jan Kochanowski“, „Czaromysł“, „Zamek na Czorsztyńcu“, „Kalmora“ oraz „Cecylia



Wspólny obiad w sali miejscowej straży. Na miejscu honorowym siedzą pp: B. Chomicz, prezes Wzajem. Ubezpiecz. K. P., inż. Arczyński, red. Ostaszewski, E. Balcer, Nasiorowski, Okluski i Miniewski.
Fot. Maryan Fuks.

Piaszczyńska“. Kurpiński popularny też jest jako autor licznych pieśni.

Zasługa jego dla muzyki polskiej jest olbrzymia. Utorował on drogę Moniuszce. Na późniejszych jego operach znać wybitny wpływ Donizettiego, co odbiło się ujemnie na samorzutnej i naprawdę natchnionej twórczości Kurpińskiego.

Non omnis moriar! Dziś jak przed wiekiem rozbrzmiewa smętna polska jego pieśń i czaruje nasze serca. Kurpiński w dziejach kultury muzycznej polskiej pozostawił trwałe i niezapomniane ślady swojej twórczości. Cześć jego pamięci!

Zgon królowej bułgarskiej.



Królowa Eleonora bułgarska, zmarła d. 4 września r. b.

Teatry warszawskie.

TEATR MAŁY. „Szczęście Frania“, komedia w 3 aktach Wł. Perzyńskiego, i „Hrabia Monte-Christo“, komedia w 3 aktach z angielskiego.

Teatr Mały wznowił dawną komedię obyczajową w 3 aktach Wł. Perzyńskiego p. t. „Szczęście Frania“. Zalety tej komedii były już kilkakrotnie omawiane. Chodzi o pokazanie, jak młodzianka panna Helena, lekceważąca urzędnika ojca swego, Frania, zaczyna go szanować. Stanie się to dzięki przykremu przypadkowi, jaki się jej zdarzył. Zakochała się w malarzu, który jest żonaty. O fakcie tym dowiedziała się post factum. Zawiedziona p. Helena małżeństwem z Franiem — zechce ratować swoją reputację...

Doskonałą parę tę stworzyli na scenie p. Mrozińska i p. Ratowski. P. Mary Mrozińska w kreację uwiedzionej i porzuconej Heleny włożyła cały swój kobiecy wdzięk, rozegrała wszystkie struny duszy: od liryzmu po głęboki tłumiony zawód. P. Ratowski ujął dobrze rolę Frania. Sztukę starannie wyreżyserował p. Borowski.

Teatr Letni pokazał „Hrabiego Monte-Christo“, farsę przetłumaczoną z angielskiego, a nieposiadającą.. autora, gdyż nazwisko jego zostało pominięte przez afisz. Treść tej farsy jest zgola karkołomna, a nazywa się ona „Hrabia Monte-Christo“ tylko dzięki temu pewno, że mieliśmy „Roberta i Bertranda“, „Dwie sieroty“, czemu więc nie... obejrzeć i popularnego w kuchniach „Hrabiego Monte-Christo“. Artyści gnali bardzo sprawnie. Na czoło wykonawców wysunęła się p. Micińska. E. C.

Dnia 16 b. m. zmarł znany i popularny adwokat warszawski, Leon Papiński.



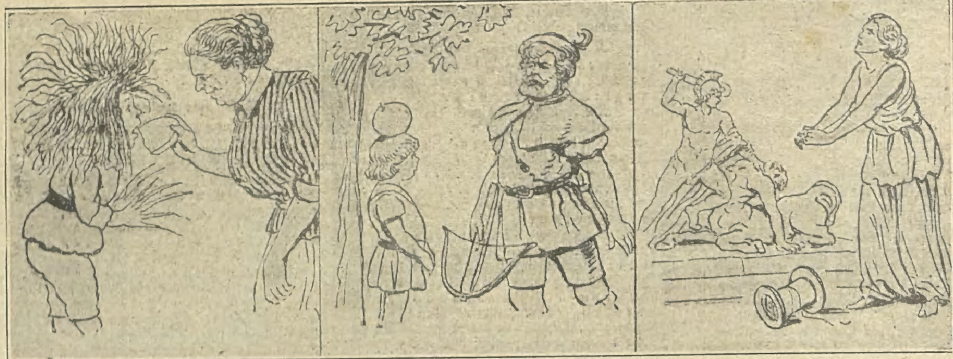
Jako obrońca karny, posiadał największą praktykę sądowniczą. Znany też był Papiński ze swoich zamiowań artystycznych i pracy społecznej. Posiadał jedną z najbogatszych galerji, złożoną z dzieł współczesnych malarzy. Mecenas Papiński kolekcjonował też medale,

był duszą wszelkich konkursów artystycznych.

Tworzące się Sądownictwo polskie powierzyło mec. Papińskiemu odpowiedzialne stanowisko wiceprezesa Sądu Apelacyjnego w dziale karnym. Szkoła nauk politycznych zapowiedziała na semestr zimowy jego wykłady. Dużo też Papiński zajmował się sprawą emigracji i reemigracji ludu naszego.

Spółceństwo polskie traci przez śmierć L. Papińskiego dzielną i wybitną jednostkę. Zmarły był jednym z lepszych polskich oratorów. Próbował też sił swoich w dziennikarstwie, zamieszczając wiele interesujących wspomnień i rozpraw na tematy aktualne w prasie naszej.

Żył lat 58.



Oszczędzanie mydła jest cnotą, która otrzymuje... nagrodę.

Wilhelm Tell na rozdrużu: jabłko czy dziecko.

Ariadna nie może wyprowadzić Tezeusza z labiryntu, gdyż nie posiada kłębka z niemi.



Adam i Ewa nie znajdują na drzewie wiadomości żadnego jabłka. Nawet w niebie obecnie na owoce wprowadzono ceny maksymalne.

Noe zrezygnował z ratunku w swojej arce. Spotkać go przecież może łódź podwodna.

Piekło musi być na pewien czas zamknięte wskutek braku opał.



Tungstosram

najtrwalsze lampki oszczędnościowe.

10376

Założony przez T-wo Kred. Ziemskie

Bank Ziemiański

MAZOWIECKA № 13

niniejszem zawiadamiam, że wynajmuje

Skarbczyki stalowe (Safes)

przy opłacie rocznej od 30 marek i wyżej zależnie od wielkości skarbczyka. 10380

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

Wacława Perendyka

WARSZAWA, SENATORSKA № 8.

dawniej: SZWALBE, ŠACH i S-KA

poleca 10369

Nowe fasony palt na sezon bieżący oraz BURKI PODRÓŻNE.

Istniejące od 1805 roku

Zakłady Ogrodnicze

C. ULRICH

WARSZAWA, CEGLANA № 11

zawiadamiają, że wyszedł z druku

Cennik drzew i krzewów owocowych i ozdobnych na rok 1917/18 10381

i na żądanie rozsyłany jest **bezpłatnie.**

ZAKŁAD

ARTYSTYCZNO - GRAWERSKI J. MICHROWSKIEGO

Marszałkowska № 127, wprost Moniuszki

Medale, żetony, herby, monogramy, faksimile, znaczki szkolne i korporacyjne. Pieczęcie metalowe do laku i tuszu. Stemple kauczukowe i wszelkie roboty grawerskie.

Wykonanie artystyczne i bardzo dokładne. 10049

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 22 września 1917 roku.

Nr 38.

Idea prawa narodów.

Powtarza się obecnie niemal codziennie pojęcie, mające najwięcej popularności na łamach pism i wśród praktykujących polityków, że istnieje odwieczne, niezmienne, naturalne prawo narodów. Pojęcie to stało się pewnikiem, symbolem, który przyjmuje się bez dyskusji. A jednak należałoby może pewnik ten ukazać w świetle ewolucjonizmu. Ludzkość bowiem rzeczy najnaturalniejszych przez długie okresy swego bytowania wcale nie dostrzega, nie domyśla się nawet, że istnieje. Dopiero żywotna potrzeba stwarza rozumową kategorię, nazywa po imieniu nieuchwytnie dotychczas zjawisko...

Idea prawa narodów nie jest rzeczą, któraby mogła się wykazać odwiecznym rodowodem w sensie historycznym. Dopiero wiek 19 stwarza pojęcie etnograficzne narodu, a w ślad za tym ujęciem ludzkiego bytowania idzie już prawo, jako kategoria, określająca jakość, wewnętrzny atrybut istnienia.

Z racji tej zapewne oficjalna nauka nie uznawała tego „odwiecznego prawa”. Względność zjawisk zna też względne prawa. Prawa żywotne określa zawsze fakt woli, fakt energii, za pomocą której naród rzeźbi swoje oblicze wśród innych narodowości. Nie zawsze bowiem wystarcza samo istnienie. Naród mocniejszy zaprzecza „odwieczności” praw narodowi słabszemu. Dopiero wojna obecna zrodziła ideę „prawa narodów małych”. Dopiero wojna obecna wytwarza podłoże do uregulowania prawnej egzystencji między narodami mocniejszymi i słabszymi. Przed tym bo-

wiem obowiązywała zasada: czyja władza — tego racja. Nikt nie odważył się przytem wtrącać w „wewnętrzne sprawy” państwowe narodu mocniejszego, gnębiącego naród słabszy..

Starszą bowiem jest idea państwa o kilkanaście wieków od idei narodu. Państwo posiada autorytet praktyczny, sięgający we wszystkie przejawy życia. Racja stanu państwa wyklucza wszystkie inne kąty widzenia. A jednak, gdy ludzkość w mozołach i krwi przelewie dopracowała się do uznania idei narodowościowej — musi też stworzyć narodową rację stanu. Tęgo rodzaju kąta widzenia najmocniej się objawił dotychczas u narodów beżpaństwowych. Jako przykład, może posłużyć Irlandja, wreszcie Polska. Idea narodu stwarza moralny autorytet, żądający podporządkowania się, żądający posłuszeństwa.

Czy jednak może istnieć prawo międzynarodowe? Czy istniało już prawo międzypaństwowe? Teoretycznie wiemy, że takie prawo istniało. Praktycznie w czasie pokoju wypowiadało się ono w umowach handlowych, w umowach politycznych. Czy jednak prawo takie nosiło na sobie piętno naturalnego porozumienia? Przeważnie bowiem wszelkie umowy handlowe, traktaty polityczne narzuca wojna. Siła decyduje o prawie, siła tworzy prawo. „Kto posiada przewagę — ten dowolnie może kształtować sposób układu i ustosunkowania, kierując się, jako jedynym wskaźnikiem, względem na własny interes lub nawet na swój ka-

prys despotyczny” (str. 12 S. Rundstein).

Wynika z tego, że prawo owe mogło być nawet usankcjonowanem bezprawiem. Nie wyklucza to wprawdzie istnienia idei prawa, ale tym niemniej stawia je w dość niekorzystnym świetle. Szczególnie wojna obecna zachwiała autorytetem prawa międzypaństwowego lub międzynarodowego, choć właśnie wojna ta zrodziła potrzebę uznania prawa narodów małych i wzięcia ich w opiekę, by „kaprys despotyczny czy przewaga” nie rządziły się swoją dowolnością.

Kwestja ta jest żywotną. Dla niej przecież narody się krwawią. Mózgi więc przodownicze rozmyślają nad teorią, któraby mogła być równopowiednikiem strasznej praktyki..

U nas w Polsce sprawa ta jest żywotna od chwili porażki politycznej. Interesowano się nią ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Tworzyliśmy mesjanizmy, byle tylko znaleźć etyczny punkt oparcia dla słusznej naszej racji. Marksizm był też teorią, która dźwigała z innego punktu widzenia naszą słusność na poziom dziejowej sprawiedliwości. Wreszcie w Europie powstała myśl sądów rozjemczych, która zrealizowała się na posiedzeniach odbywanych w Hadze. Wojna pracę te zerwała, ale ludzkość żąda, by słusznie to dzieło porozumienia prowadzono dalej. Uważa nawet każdy z narodów walczących, że właśnie krwawi dla tej a nie innej idei słuszności i prawa.

Jak jednak wygląda sprawa ta w świetle nauki współczesnej? Rzeczę rozstrząsa znany uczonej i prawnik warszawski, p. Szymon Rundstein, w książce p. t. „Idea prawa narodów”. Zapoznanie się z jego stanowiskiem w tej materji będzie podwójnie inte-

resujące. Raz wyjaśni nam stanowisko nauki, a po wtóre odsłoni przed nami te sprawdziany, którymi kierować się będzie nasz urząd prokuratorski przy Sądzie Najwyższym. Jak wiadomo bowiem, p. S. Rundstein jest brany pod uwagę, jako kandydat na stanowisko prokuratora do spraw cywilnych przy Sądzie Najwyższym.

Autor „Ideji prawa narodów“ rozprawę swoją podzielił na cztery zasadnicze rozdziały. Rozdział pierwszy analizuje pojęcie „cechy prawa“. Rozdział drugi mówi o „ideji przymusu“, rozdział trzeci o „ideji samozobowiązania“, wreszcie rozdział czwarty syntetyzuje poniekąd cały wykład i posiada tytuł „Wojna i idea prawa“.

P. Rundstein jest zwolennikiem kierunku, uznającego zasadę koordynacji w kwestjach prawa międzynarodowego. Odpiera wszelkie uroszczenia teoretyków, głoszących, że „państwo istnieje bez moralności“, a więc siłą decyduje o prawie. Zbija twierdzenia, że „wskaźnik prawości i bezprawia, moralności i niemoralności nie mogą być zastosowane do przejawów życia międzypaństwowego“. I wysuwa zasadę koordynacji interesów, której dźwignią winna być idea samozobowiązania. „Uporządkowanie międzynarodowe nie jest układem władczym; obrona prawa wynika nie z tytułu panowania, lecz z koniecznej solidarności interesów“ (str. 32). I pisze: „wszakże powaga i moc potencjalna idej „prawości“ nawet w wypadkach oczywistych pogwałceń się przejawia; czyliż czynniki miarodajne nie dążą wówczas do tego, ażeby zamierzeniom swym nadać pewne cechy słuszności, czyliż nie starają się stworzyć pozorów i względów na „konieczność“, na „samozachowanie“ odstępstw od normalnej linii postępowania nie tłumacza? Czyliż ta motywacja nie jest najwyższym tryumfem idej prawa?“ (str. 51).

Rozumie się, że „idea samozobowiązania nie utożsamia się z pojęciem niezmienności prawa“.

P. Rundstein broni bardzo wymownie momentu etycznie-psychologicznego w fakcie prawnym. Jest więc rzecznikiem humanitaryzmu pięknie pojętego, bo opierającego się o prawo, przewidujące „dobrą wiarę“ i „ważną przyczynę“. P. Rundstein pisze: „Rozumie się, że w okresach wojennych zaufanie do prawa narodów zanikać musi. Ale emocje i impresje bądź co bądź przejściowe nie są czynnikiem, który mógłby unicestwić pojęciowo-konieczne *podwa-*

liny prawnego współbywania państw“ (str. 69).

Co więcej p. Rundstein uważa, że „wojna i przemoc nie są celem samoistnym; są one w istocie rzeczy dążeniem do utworzenia układu pokojowego, polegającego na odmiennym — w odróżnieniu od stanu przedwojennego — ustosunkowaniu sił. A nie możemy sobie wyobrazić układu pokojowego bez współzależnego z nim panowania idei prawa. Idea ta może co do treści swej podlegać przemianom ewolucyjnym — wszakże zasadnicze pojęcia współzależności i samozobowiązania moc swą zachować muszą“ (str. 70).

Wynika z tego jasno i wyraźnie, jakich zasad rzecznikiem jest p. Rundstein. Otwiera też dyskusję nad sprawą samozobowiązania i stawia w świetle krytycznym idee Lassona czy Kaufmana, którzy pragnęliby tylko siłę uznać za jedyny czynnik decydujący w kwestjach prawa międzynarodowego. „Idea prawa naro-

dów“, według opinii takiego rzeczoznawcy, jakim jest p. Rundstein, jest zjawiskiem, które nie należy osądzać tylko ze strony pesymizmu wojennego. Właśnie wojna rzeźbi i przekłada drogę do urzeczywistnienia hasła „porozumienia“ i „samozobowiązania“.

Idea prawa narodów przejdzie przez to w sferę czynów konkretnych. Zdecyduje o niej kongres pokojowy. Musi on obdarzyć ją autorytetem. I wtedy być może normy stworzone nadadzą ciała i krwi elastycznym pojęciom, staną się konkretem, nie podlegającym wątpliwości.

Praca p. Sz. Rundsteina w każdym razie powinna się spotkać z szeroką dyskusją. Wnoszą ona wiele światła, uczy prawnie myśleć i ukazuje zagadnienia ze strony bardzo ciekawej a nawet chwilami niespodziewanej, gdyż podkreśla subiektywny moment woluntaryzmu w fakcie tworzenia prawa.

Eustachy Czekalski.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY

46

Zapomniała też zupełnie o ułożonej kombinacji zemścia się na nim za to, że ongi tak łatwo z nią zerwał.

Zarzuciła skombinowaną taktykę kokieterji zwlekania, drażnień, podsycania, wzbudzenia zazdrości! choć bronią tą nieraz walczyła, rozkoszując się cierpieniem oszalałych wskutek jej piękności, zakochanych, czyniących dla niej największe ofiary ze swego honoru, a nawet życia.

Zapomniała, że początkiem jej kariery była defraudacja zakochanego w niej po uszy, nieskazitelnego dotąd dyrektora banku Societa Bancovia Italiana w Rzymie, który z miłości dla niej odsiaduje dożywotnie więzienie.

A sypialnia jej pałacu weneckiego została podobno splamiona krwią jakiegoś młodego Hiszpana, który wystrzałem z rewolweru palnął sobie w łeb z zazdrości o lorda Bingtona.

I naraz tu w Warszawie, wbrew swoim zasadom i polityce — oddała się pięknemu Horskiemu w miesiąc po jego powrocie, jak zakochana szwaczka, lub trzeciorzędna chórzystka.

— Kochasz mnie? Mów! — zamęczała go bezmyślnymi pytaniami,

zdając sobie sprawę, że jest to już system miłości kobiet, dla których nietylko nikt sobie życia nie odbiera, lecz które poprostu porzuca się.

— Co w nim jest tak nadzwyczajnego? — usiłowała badać swój stan zupełnie trzeźwo. — Jest piękny, to prawda; lecz niezbyt młody, choć statecznym życiem niezłe zakonserwowany. Kocha mnie zapewne; bo dla jego ideału życia człowieka statecznego — wcale nie na rękę jest zdradzać tak prędko młodą, przystojną żonę. Kocha mnie, bo niebo i piekło razem — stworzyły nas jedno dla drugiego.

Lecz nie kocha mnie tak, jak ja jego — męczyła się tą myślą wszystkich zakochanych wraz z rosnącą wciąż pasją, aby go oczarować, usiłując, zmiażdżyć.

— Co ja w nim widzę? — usiłowała analizować swoje zaślepienie. — Wyrosłam już przecie z mylnego identyfikowania go z dystygowanym bohaterem Feuilleta. Grandezza tych wszystkich gentlemanów, których poznałam — przypominała przecie hrabiów de Camors stokroć bardziej, niż drugorzędna poza tego prowincjonalnego Dekamorka. A więc co ja w nim widzę? — powta-

rzała sobie w kółko, nieświadoma, że tą jego siłą, niezależną od uczuć, które w głębi nim miotaly — był dany mu od natury tak popłatny wogóle w życiu, a tak silnie działający specjalnie na kobiety — zewnętrzny spokój ducha.

Horski całą swoją karierę zawdzięczał swojej małowówności. Należał do tych szczęśliwców, którzy przez ciąg całego życia nie wyrwali się nigdy z tak szkodliwym nieraz głupstwem, z tej prostej przyczyny, że nigdy nie hazardował się na to, aby odezwać się z czemś bardzo mądrzem. Niewiadomo, czy czynił to z premedytowanej ostrożności, czy też poprostu z udzielonego mu przez naturę królewskiego daru małowówności.

Bo Horski milezał wszędzie: i na konsultacjach u pacjentów, na które go koledzy bardzo chętnie wzywali, ponieważ pozwalał im gadać do woli bez chęci olśnienia ich własnym rozumem, i na posiedzeniach, pełnych zwykle urodzonych gadułów, wdzięcznych tym, którzy taktownie ich rozumowi się przysłuchują; i w towarzystwach i w salonach.

Był zawsze i wszędzie korrekt. Nikogo nie obmawiał, sarkazmem nie dotknął; nie krytykował, dowcipem nie uraził.

Przez długi ciąg jego życia nikt nie domyślał się, że ten mile uśmiechnięty szczęśliwiec nie mówi dlatego, że nie ma nic do powiedzenia.

Ta jego sfinksowość nie przestawała działać na księżnę wprost po pensjonarsku. Sprzedałaby djabłu duszę, aby mózgi wyprowadzić go z równowagi.

Z manją, iż on kocha ją mniej, niż ona jego, pragnęła ofiar, składanych u jej stóp. Chciałaby, aby poświęcił dla niej swoje mieszczańskie ideały spokojnego obywatela. Nie wiedziała dokładnie, czego chce. Roził się jej jakiś skandal, porzucenie żony, pojedynek..

— Jestem szalona — męczyła się w myślach, czem by go bardziej usidlić, w proch u swoich stóp zmiażdżyć.

Znając jego snobizm, pojęła, iż źle uczyniła, zaniedbując swoje wielkoświatowe stosunki, które nie przestały mu imponować. Pomyślała o księżnej Eustachowej. O tej królowej syreniego grodu, nietylko w opinii Horskiego, lecz i całej Warszawy; o tej jedynej wielkiej damie, która jej salon jeszcze bojkotowała.

Księżna Eustachowa była brzydką i cnotliwą i, uchylając głowy przed kosmopolityczną mitrą, nie

przebaczala jednak Irene jej awanturycznej przeszłości.

Księżna Irena postanowiła a tout prix mieć ją w swoim salonie. Z wielkimi wysiłkami udało się jej przez stosunkę uzyskać w Petersburgu pozwolenie na nową instytucję, która była stałym niespełnionym marzeniem księżny Eustachowej.

Miał to być pensjonat — przytułek dla osieroconych, podupadłych panien z arystokracji, z którym władze rosyjskie nie solidaryzowały, jako z rodzajem klasztorów, „z propagandą katolicyzmu“.

Księżna Eustachowa złożyła Irene dziękczynną wizytę za jej zabiegi w tej sprawie. Irena, rewizytując księżnę, zaprosiła ją na specjalnie wydany na jej cześć wieczór, mający się odbyć z powodu letniej pory nie w salonach, lecz w ogrodzie pałacu Ireny.

Obecny na tej uroczystości przyjezdny wielki książę Borys Borysowicz miał wręczyć księżnie Eustachowej upoważnienie z podpisem cesarskim na otwarcie szlacheckiego przytułku.

Owe „garden-party“ — stało się najbardziej sensacyjnym „clou“ letniego sezonu Warszawki.

Ogród pałacu Ireny udekorowano różnobarwnymi lampionami i girlandami z nicejskich kwiatów; urządzono sztuczne grotty i altany w stylu Ludwików, przypominające dawny Versal i Trianon.

Produkty bufetowe sprowadzono z Wiednia od Sachera wraz z kucharzem na konferencję z maitre d'hotel'em Ireny.

Włoski pirotechnik przemieniał wodotrysk na fantaine lumineuse i przygotowywał ognie bengalskie i szmermele. Dla stu zaproszonych gości przygotowano w bufetach sto butelek wina szampańskiego.

Wieczorem cała ulica, zwabiona łuną światła ogrodu, sznurem pojazdów, wśród których intrygował gapiów wielki książę i zamek — tłoczyła się w sensacyjnym oczekiwaniu rakiet i fajerwerków.

Ogród w swojej dekoracji girland i różnokolorowych lampek elektrycznych — przedstawiał faktycznie widok czarownicy. W srebrnej lunie światła elektrycznych, wśród szmaragdów gazonów z bijącą te czowami o stu barwach srebrnymi wodami wodotrysku — roztaczała swój estetyczny powab „la crème de la crème“ towarzystwa.

Kapela oryginalnych cyganów z Buda-Pesztu dyszała ogniem swoich czardaszowych rytmów.

Mężczyźni w barwnych frakach z estetyczną dziedziczną dezynwol-

822
tura, jaką wpaja od dziecka pałacowe życie magnatów, baraszkowali wśród pięknych kobiet w jasnych sukniach i brylantach.

Śród swoich gości z uśmiechem królowej uwijała się księżna Irena, u szczytu ludzkiej kariery. Z tego najwyższego stopnia hierarchicznego dalszej drogi już nie było.

— Więc to tylko tyle? — mknęło jej po głowie, w rozczarowaniu kapryśnego dziecka, któremu matka zdjęła upragnioną kafelkę z pieca.

— Wznieść się już wyżej nie można! Można jedynie opaść na dół. — Księżna wzdygnęła się. Miała uczucie, że dzień dzisiejszy jest etapem jej kariery, że odtąd zacznie się staczenie w dół..

— Trottoir roulant! — uronizowała w myślach. — Ha, ha! Zaczęłam przecież od trotuaru — Pi! — wzruszyła ramionami.

Wyzywała losy. Rozejrzała się dokoła po wyniosłym z tysiąca i jednej nocy swoim pałacowym ogrodzie, w którym „la crème de la crème“ w mniej, lub więcej czułych parach i w wytwornych grupach — przypominała ruchem i barwą wyniosłej fêtes galantes Watteau, Claude Lorain'a, Lancreta lub Fragonarda.

Znała duszę tego pięknego sztafazu na wyłot. I naraz zrodziła się w niej pogarda dla wszystkich hierarchii, stopni i tytułów; dla wszystkich quasi czystych mężczyzn i kobiet, tych wszystkich kół i kółek całej skomplikowanej maszyny świata.

Dokoła niej strzelały wciąż nowe butelki otwieranego szampana; kapela cygańska grała.. Puszczane ku niebu rakiety — spadały deszczem stubarwnych iskier. A czarodziejsko w wir wprowadzone koła ogniste — wzbudzały podziw gości. Towarzyszyły im okrzyki zachwyconej tem bezpłatnem widowiskiem ulicy.

I Irena ze swoim bladym uśmiechem, maskującym głębię popiołów jej duszy — przypatrywała się tym piekielnym ogniom z jakimś instynktem destrukcyjnym, tlejącym w jej chorej duszy. Miała uczucie, że ognie rozżarzone demoniczną siłą kurtызany, nie przebiegającej w środkach pięcia się do szczytów kariery, sieją dokoła zniszczenie dla tych wszystkich, którzy tolerują jej hańbę i upadek duszy.

Miał ich szanować za to i cieszyć się i szczyć ich uznaniem? Nie czuła dla nich żadnej litości. Przeciwnie! Czyniąc ich odpowiedzialnymi za spacone pojęcia o szczęściu i za obłudną tolerancję maskowanych win — czuła dla nich nietylko pogar-

dę, lecz i nienawiść. Niechajby ta lawa ognista zatopiła całe mrowisko tego uperfumowanego błota!

Lecz zadrżała w swoich klątwach: Czy w tym ogniu pod wyrokiem okrutnym, mściwym, lecz sprawiedliwym — nie zginie i ona sama?

Rzuciła dyskretne miłosne spojrzenie w stronę bohatera tego wieczoru — Horskiego.

— To ostatnia stawka mego życia!

Najostrzejszy sędzia nie odmówiłby mu wielkiego taktu i miary. Przyznawała mu to cała plotkarska Warszawa, doskonale poinformowana co do wszystkich alkwianych tajemnic, tolerująca wszystko, aby bez skandalu.

Horski nie fanfaronował quasi maskowaną rolą pana domu. Podług wyrażenia aktorskiego „nie zgrywał się“. Obojgu przyznawano ogólnie, że znajdowali się bez zarzutu. Najdomyślniejsza żona nie odgadłaby tu dziś zdrady. Zresztą zauważono ogólnie, że młodzianka doktorowa Horską nie przyjmuje u siebie i nie ukazuje się nigdzie. Kładziono to usuwanie się jej „ze świata“ na karb słabowitości faktycznej, lub urojonej.

— A najpewniej unika ludzi — zdecydowała opinia — z powodu ogólnej cechv obecnego pokolenia: nieobecja i braku talentu towarzyskiego.

Strzelały już ostatnie butelki szampana. Pękła ostatnia rakietka. Liczba gości wciąż się zmniejszała. Słychać było tętent odjeżdżających powozów i sznurem ciągnących ku miastu wspaniałych samochodów.

Ucichła muzyka i gasły ostatnie zawieszane wśród drzew lampiony. Ciżba uliczna, syta widowiska — rozchodziła się po domach.

I księżna Irena, rozczesując do snu włosy, w ciągłej swojej manji, czy on nie kocha jej mniej, niż ona jego i czy nie przegrała wskutek własnej niezręczności na swojej ostatniej stawce życia — konkludowała optymistycznie:

— Nie, nie. Taka ślepa uległość naiwnej szwaczki — to czasami działa silniej, niż ustawianie przeszkód, które płoszą tak niewytrawnych, jak on, donżuanów. Obyłoby się nawet bez tej uroczystości champêtre, którą wydałam przecież jedynie dla niego, jak kupuje się zabawki, aby ucieszyć małe dzieci!

— Nie, nie. Nie przegrałam ostatniej stawki — tryumfowała, dostrzegłszy, że to jej żywiołowe szaleństwo działa, jak ślepy wybuch lawy wulkanu, znacznie mocniej, niż

ministerjalna taktyka zimnej kobiecej polityki.

I pewna już rodzaju broni — postanowiła dosypywać wciąż prochu, aby zmiążyć tego spokojnego filistra, którego kochała prawie do nienawiści i którego miłością haszyszowała się aż do utraty świadomości pozłacanego błota swojej duszy.

Żyła teraz w pasji poświęcania mu wszystkiego: całego stanowiska, takim trudem wywalzonego, opinji, majątku. Położyła wszystko na jedną kartę.

Wszystkie ofiary, w skutkach dla niej bardzo doniosłe i uciążliwe, jakie w tym względzie poczyniła w Petersburgu ze swoim plenipotentem — były przecież skuteczniejsze z jedyną myślą najrychlejszego zakończenia wszystkich rachunków zagranicą i jedynie, aby mózgi osiąść na całe życie w Warszawie tuż koło niego.

Rozstała się nie tylko ze swoim plenipotentem, lecz i z hrabiną de Sommerive, z tym ostatnim duchem opiekuńczym, pozostawionym jej przez zmarłego księcia, który miał czuwać, aby głupstw, w jego pojęciu, w życiu nie popełniała. Aby żyła wyłącznie jedynem życiem, jedynem szczęściem wielkiej damy, za pan brat z wielkim światem, zebrany w jej salonach.

Rozstała się też z miss Jackson, która, pomimo królewskiego odszkodowania, wśród szlochów, spazmów i histerycznych ataków, musiała pakować swoje kufrы.

— I piękny Umberto opuścił jej dom — obdarzony hojną fortuną. Za pieniądze te, sprytny Włoch otworzył pierwszorzędną cukiernię w Warszawie. Odrazu też wszedł w modę u całego high-life'u nie tylko z powodu famy, głoszonej o jego miłosnej przeszłości, lecz i zawdzięczając urodzie i sprytowi, z jakim przyjmował zbierające się na five o'clockach z muzyką — patronessy, damy z wielkiego świata; a wiadomo, jak chętnie popierają one ludzi, paradujących obcemi językami.

I księżna, niezmeńczona w chęciach ofiar — wpadła w manję afiszowania się swoją miłością. W manję, podsycaną jeszcze oporem resztek upodobań Horskiego do solidnego życia „jak się patrzy“.

W nikłych, ciemnych sukienkach, w skromnych kapelusikach gryzетки, zawieszala się u jego ramienia; — tułała się z nim po przedmieściach, zaułkach, cukierenkach, kinematografach i gabinetach restauracyjnych, w których, jak pensjonarka na wakacjach — delectowała

się śmiesznie roztrojonym klekotem pianina, starą fryturą potraw, chrupiąc deser z pod ciemnej gwiazdy.

Zdawało jej się, że jakieś fatum czyha deterministycznie, aby zciągnąć ją z powrotem do tego błota, z którego udało jej się z takim wysiłkiem, cudem wydostać.

Te zakazane owoce smakowały jej tembardziej, o ile poważny jej Romeo surowiej mentorował ją, przestrzegał i strofował.

Całemi dniami bombardowała go ustawicznymi telefonami z wynurzeniami przesadnej miłości. Z pasją zakochanych kobiet — pisywała do niego kompromitujące erotyczne listy; odwiedzała go ukradkiem w jego domu, z wieczną pasją wieszania mu się na szyi w drzwiach otwartych, lubując się grożącym niebezpieczeństwem, jakie czyhało na nich za łada stuknięciem klamki z sąsiedniego pokoju Zosi.

Czyniła to wszystko żywiołowo, bardzo szczerze i naiwnie, nie zdając sobie zupełnie sprawy z psychologii Horskiego.

Przecież wiedziała, że był zawsze snobem i domyślała się, że kochał w niej niemniej księżnę, niż kobietę.

Jego miłość własną bardziej lechtały miłosne spojrzenia, rzucające mu w salj jej pałacu, kiedy usiana brylantami, w paryskich sukniach królowała w otoczeniu elity hrabiów i księząt, niż w ukryciu trzeciorzędnego gabinetu restauracyjnego, w którym w wełnianej sukience wybrzdakiwała, jak ongi jego chórzystka Felka — walce, polki na pianinie. Lecz Irena w swoim szale miłości i ambicji kobiety, która się starzeje — nie przestawała hazardować się.

— Tak źle ze mną chyba jeszcze nie jest. Trudno! Niech się dzieje, co chce. On musi kochać we mnie nie księżnę, lecz kobietę.

A jednak — o dziwo! zwyciężyła! Pomimo całej tej niby niezręczności, niezrozumienia natury ludzkiej, kobieta okazała się silniejszą od księżny.

I stateczny Horski ani się domyślał, kiedy i jak wpadł w sidła, ustawione już nie dla jego próżności i kariery, lecz dla niezależnych od jego woli instynktów, które, wyrwawszy się z pod jego władzy, poczęły despotycznie nim samym najnieopatrzniej kierować.

Dalszy ciąg nastąpi.



PRAWDZIWIY DRAMAT.

Pani Nina stała przed wielkim lustrem, ujętym w złotą ramę, i nie bez satysfakcji obejrzała swoją wojenną sylwetę. Dopiero ta wojna europejska musiała wybuchnąć, ażeby najwdzięczniejsze wdzięki pięknej pani Niny stały się widokiem dostępnym dla całego społeczeństwa. Wzrok jej przesliznął się po jedwabnym staniku, który tak doskonale opancerzał jej kształty o nieskazitelnej linii; powiedzmy, Venus z Milo (ta bezramienna bogini była tyłokrotnie skazywaną na porównania, że jedno więcej nikomu jej już obrzydzić nie zdoła). Z prawdziwą przyjemnością uśmiechnęła się piękna pani i do przykrótkiej sukni, z pod której wychylały się nogi, o jakich poeci zwykli są mówić: ...urzeć, a potem umrzeć...; chociaż postanowień tych nie lubią wprowadzać w czyn. Wspomniawszy poetę, sięgnęła pani Nina po słuchawkę telefoniczną, ale uprzytomniwszy sobie anachronizm takiego ruchu w chwili aktualnej, gestem zapożyczonym u pewnej gwiazdy teatralnej przetarła czoło i usunęła się w miękką bergère.

Złotowłosa pani Nina myślała o wszystkim kolejno, więc o drugiej rocznicy śmierci odżałowanego męża, o zapasach mydła, które przy najmniejszych oszczędnościach wystarczą na pięć lat, myślała też o dentyście i krawcowej, premjerze w Rozmaitościach, o tem, że musi zabrać się do jakiejś społecznej pracy; wreszcie pomyślała o poecie. Poczem zrobiła małą pauzę w fatygującym zajęciu i zdrzemnęła się na chwilę.

Żadne sny nie ośmieliły się niepokoić pani Niny; uczynił to lokaj, niosący na srebrnej tacy blade-lila kopertę.

— List dla jaśnie pani — rzekł donośnie i bez zająknięcia, jak w dobre wyreżyserowanej komedji.

Pani Nina wyciągnęła białą dłoń. Dziwnym zbiegiem okoliczności, (gdyby nie było zbiegu okoliczności, nie byłoby też noweli) list był od poety, o którym pani Nina myślała przed chwilą: „Chère Madame — brzmiały wytworne słowa, na wytwornym papierze, od którego emanował wytworny zapach Idéalu — je viens de denicher u jakiegoś antykwariusza bajeczną miniaturę. Gdyby ją pani obejrzeć zechciała, wstąpię dziś o piątą i pójdziemy à travers la ville Bien?”

— Chętnie — odpisała pani Nina bez namysłu i bez podpisu. Bo jeżeli prawdą jest, że skromność zdobi dziewicę, to ostrożność — mężatkę. Bywa też i odwrotnie.

Poeta był to młodzieniec całkiem nieszkodliwy dla poezji; pisał, o ile chciał, pisał wiersze nie od wiersza, ale w albumach inteligentnych dam, zbierających aforyzmy ludzi mniej więcej sławnych. Na wskazujący palec nosił wspaniałą sygnę rodową od antykwariusza z Świętokrzyskiej; grał w bridgea; po angielsku i francusku mówił lepiej, niż językiem rodzimym; miał wspaniale zaprasowane spodnie, genialnie związany krawat i wiele innych podobnych zalet. To też, gdy o godzinie piątej doskonale wyreżyserowany lokaj zaanonsował jego wizytę, piękna pani poprawiła złote loki i kazała podać herbatę.

— Zimno; smutno dziś na ulicy — rzekła z czarującym uśmiechem — wie pan, lepiej zostaniemy u mnie i pogawędzimy swobodnie.

Poeta ucieszył się niezmiernie, chociaż nie wiedział, co piękna pani nazywa swobodną pogawędką. Wszak nieraz już rozmawiał swobodnie i z panną i z mężatką, ale wdowa, to jest kobieta, co to powtórnie panną została, była dlań ziemią nieznaną, choć może i obiecana. Nie ułaski się młodzieniec nowego problemu i rzucił w nią komplementem, który był słodszy, mocniejszy i gorętszy od herbaty, jaką go częstowała pani domu. Za tym komplementem poszedł drugi, trzeci, czwarty, wreszcie pauza, tyk herbaty i następna seria komplementów. Komplementów tych p. Nina wysłuchiwała z godnością, nie przerywając potoku pieszczotliwych słów, jako że gościom się nie przerywa, i nigdy żadną kobietą nie zdurzył się komplementami, które jej mówił niekochany mężczyzna. Wreszcie nastąpiła pauza, tym razem dłuższa, podczas której poeta zastanawiał się, czy bisować scenę poprzednią, czy zmienić repertuar i „uderzyć w czynu stał”.

— Materia jest delikatna — pomyślał poeta, ujął jej rzeczywiście delikatną dłoń i zaczął całować. Kobieta zachowywała się najzupełniej biernie, więc mężczyzna postanowił dalszy ciąg pocałunków złożyć na karczku. Tutaj spotkał się z doskonale odegranym oburzeniem.

— Nie dlatego pana zatrzymałam u siebie, żeby mnie pan obrażał! — rzuciła gniewnie.

— Ależ pani Nino — odezwał się szeptem modlitewnym, — zazwyczaj kobiety obrażają się, o ile się ich nie całuje.

— Ja jestem inną — odrzekła wymiośle pani Nina.

— Tak, pani jest inną i dlatego kocham panią.

To wyznanie przyszło mu z ogromną łatwością.

— Wiedziałam to oddawna. Można panu naleć trochę herbaty?

Młody poeta zdziwił się niezmiernie. Miłość ta była dla niego samego rewelacją ostatniej chwili, więc skąd ona mogła wiedzieć; rzekł zatem:

— Owszem, proszę. Za cukier dziękuję, piję bez cukru.

— I ja też! Byłoby z nas dobrane małżeństwo.

Słowa te olśniły poetę. Dotychczas nie zastanawiał się nad małżeństwem, nie miał po temu czasu i okazji. Ale teraz, teraz gdy kochał panią Ninę, która była piękna i młoda, mógł jej nawet wybaczyć to, co odstępuje zazwyczaj poetów, tak mógł jej wybaczyć tych sześć kamienic i osiem placów, których była właścicielką.

— Pani Nino — zaczął uroczyście acz bez przygotowania — chciałem pani powiedzieć... Ja od szeregu miesięcy o niczem innym myśleć nie jestem w stanie, jak o pani.

Pani Nina nie zdziwiła się. Kobiety dziwią się zazwyczaj powodzeniu przyjaciółek, ale nigdy własnemu.

— Pani Nino, o takiej żonie, jak pani, marzę od lat młodzieńczych — zaryzykował poeta.

A ryzykował niewiele, bo tylko odmowę.

— Panie Stefanie, ja już raz powiedziałam, że byłoby z nas dobrane małżeństwo, ale... niech mnie pan zrozumie właściwie, jak się za pierwszym razem wychodzi za mąż z miłości, to, wie pan, wszystko jedno czy za szofera, pilota, kupca, poetę lub aktora. Ale ten drugi mąż, także z miłości, musi mieć pewne stanowisko. Niech mnie pan nie posadza o materializm. Ja wiem, zresztą, że pan jest zamożny. Tu idzie o pański zawód.

— ... Jestem poetą...

— Właśnie! Mówił mi pan przed kilku miesiącami, że pan pisze dramat sceniczny. Niech pan ten dramat wystawi, a...

I pani Nina nie dokończyła zdania, bo właśnie wszedł ktoś trzeci, jakaś o tyle o ile potrzebna ciotka. Rozmowa przeszła na tory społecz-

no-kulinarne, wobec czego poeta wstał, ucałował ręce pani Niny i poszedł sobie, mniej radosny, niżby należało przypuszczać.

Głęboka zmarszczka przecięła niezbyt myślące czoło. Ten dramat, o którym opowiadał od pół roku, był dotychczas szeregiem wizji poetyckich, nieujętych i niespisanych, a żyjących li tylko w duszy poety.

— Czy kobieta jest w stanie zrozumieć coś podobnego — pomyślał z goryczą — dla niej dramat, to Węgrzyn, Junosza, Lubicz, Szylinżanka i wyprzedana kasa. Ale ja ją Kocham.

A że miłość stwarza cuda, więc poeta postanowił stworzyć dramat, chociażby — z czyją pomocą. I poszedł do przyjaciela, który miał już poza sobą cztery dramaty z życia arystokracji, pięć białych niewolnic, trzy kryminalne, jeden historyczny oraz dwie farsy, i rzekł:

— Ty tak pięknie piszesz dla kina. Może wspólnymi siłami napiszemy sztukę dla Rozmaitości. Ja dam firmę i postaram się o dobrą wystawę — a ty dasz treść dramatu i formę.

— Więc chcesz kupić sztukę ode mnie, — zapytał przyjaciel — a ile dasz? Skończyłem właśnie dramat w czterech aktach.

Takie traktowanie własnej twórczości zraziło wykwintnego poetę do przyjaciela, przeto rzekł:

— Przedewszystkiem muszę przeczytać, a potem pomówimy o cenie.

A dramat był jak na obstalunek. Bohaterką była wdowa, o względy której starał się wyrafinowany Don Juan, zresztą przemysłowiec, i pełen ognia i animuszu młodzieńczego malarz. W pierwszym akcie bohaterkę całował przemysłowiec, w drugim — malarz, a w trzecim — miała się zdecydować na ostateczny wybór towarzyszą życia. Wybierała kogoś zupełnie trzeciego, zaś przemysłowiec i malarz odbierali sobie życie w sąsiednim pokoju. Epilog nie spodobał się poecie.

— Jeżeli wolisz, to niewiasta o bu wybierze. Efekt będzie całkiem à la Shaw.

— Ja sam przerobię mój dramat — rzekł wyniośle poeta. Zapłacił żadaną sumę i poszedł poprawiać losy bohaterów. Piękna wdowa wybierała właśnie namiętnego i szczerego młodzieńca, który z malarza, a wansował na poetę, a ten trzeci ginął w pojedynku. Prawdziwy dramat!

Tego samego wieczoru poeta zaprosił dyrektora i reżysera teatru na wystawną kolację, podczas której omówiono kosztą wystawienia owego

dramatu, które to wziął na siebie wielbiciel pani Niny.

I nadszedł dzień premjery. Sztuka odznaczała się pięknymi dekoracjami, wyborną obsadą i wspaniałymi toaletami pierwszej lirycznej. To też oklaskiwano artystów, krawcowę wreszcie i autora. Wyszedł na scenę, uklonił się na pół uroczyście, na pół niedbale, uściśnął dłoń reżyserowi, aktorkę pocałował w rękę i poszedł spocząć na tak zwanych launach.

A piękna pani Nina, dla której, o której, przez którą powstał ten dramat, etalowała wdzięki swe w łożu pierwszego piętra i myślała.

— Ile mi ten chłopak zawdzięcza.

Po premierze młody poeta wyprawiał wspaniałe bankiet. Królowała pani Nina. Między zaproszonymi znajdował się i przyjaciel, ten, który za marny pieniądz rzekł się ojcostwem dramatu. Po wysłuchaniu zdania kilku krytyków, nietylko nie żalował, ale nawet starał się zapomnieć, że popełnił to dzieło. A zapomnieć przyszło mu łatwo, bo wszystkie myśli skoncentrowały się na pięknej pani Ninie. Pożerał ją (tymczasem) wzrokiem i zmuszał się do inteligentnej rozmowy, co było przeciwne jego zasadom, — zaś postępowanie wbrew zasad jest jednym z większych poświęceń, jakie mężczyźni czynią dla kobiety.

— I pan jest literatem? — zapytała pani Nina, przyglądając się jego miłej powierzchowności, nie zdradzającej żadnego stosunku z literaturą.

— Mniej więcej.

— Marzy pan o sławie?

— O nie. Broń Boże od sławy!

Piękna pani Nina zdziwiła się, a literat tłumaczył inteligentnie.

— Czem jest sława? Chwilka, czemś niekonkretnem i znikomem, — a ja literaturę traktuję jako fach. Czy adwokat bromi dlatego, że się zakochał w sprawiedliwości? Nie, dlatego, że mu klienci płacą. Czy lekarz chodzi po mieście i szuka chorych, ażeby im przyjść z pomocą? Czeka, aż go zawezwą na konsylium i też mu zapłacą. Dlaczego ja literat miałbym pisać bez powodu i w imię jakiejś tam sławy? Ja pisuję tylko na obstalunek: sztukę kinematograficzną, dramaty, powieści, nowele, sonety, satyry, pamiętniki, listy. Mam niezłe dochody, a sławę pozostawiam ludziom głupim i próżnym.

Piękna pani Nina była oszołomiona.

— To jest zupełnie po amerykańsku — rzekła, przyglądając się amerykańskiemu butom literata.

— Właśnie i ja noszę się z zamiarem stworzenia wielkiego trustu literackiego. Jeżeli istnieją królowie ropy, nafty, wołów, dlaczegóż nie miałbym zostać królem literatury!

A po dziewiątym kieliszku szampama wznosił toast za zdrowie królowej literatury. Tylko pani Nina go zrozumiała i odpowiedziała (tymczasem) spojrzeniem.

Gdy nazajutrz poeta zjawił się u pani swego serca z pochlebionymi recenzjami i wiązką róż, ona wyciągnęła dłoń po bratersku i rzekła.

— Ja mam dla pana ogromnie dużo sympatji, ale...

Mniejsza o motywy, przecież musiała kłamać, ażeby się nie okazać niesubtelną. Żadne argumenty nie zdołały jej przekonać, nie chciała zostać żoną sławnego człowieka.

A poeta?

Poeta poszedł obstalować drugi dramat.

KONIEC.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

35

POWIEŚĆ

— Co pan przez to rozumie? — zapytała panna Haldin. — Coś wiedział od początku?

Podniósł twarz bladą, napiętą niewysłowionem cierpieniem. Ale ten dziwny wyraz w oczach, jakiegoś tępego uporu, który musiał uderzyć każdego, zdawał się ustępować. Było to tak, jak gdyby ta nadzwyczajna harmonja rysów, linii, spojrzenia i głosu działała na niego

oprzytomniająco. Patrzył na nią tak długo, że aż zaczerwieniła się zlekka.

— Coś pan takiego wiedział? — powtórzyła machinalnie.

Tym razem zdobył się na uśmiech.

— Doprawdy, gdyby nie parę słów powitania, mógłbym wątpić, czy matka pani wogóle zauważyła moją obecność. Rozumie pani?

Natalja Haldin skinęła głową.

— Tak. To przecież straszne. Nie uroiła dotąd ani jednej lzy — ani jednej!

— Ani jednej lzy! A pani Nataljo Wiktorówno? Mogłaś panj płakać?

— Tak. Mogłam. A przytem jestem jeszcze dość młoda, żeby wierzyć w przyszłość. Ale gdy widzę mamę tak straszliwie zrozpaczoną, zapominam prawie o wszystkim i zadając sobie pytanie, czy powinnam czuć się dumną, czy tylko zrezygnowaną. Tyle osób nas odwiedza. Zupełnie obcy ludzie pisali do nas z zapytaniem, czy mogą przyjść złożyć swoje uszanowanie. Nie można było zamykać się przed nimi.. Pan wie, że nawet sam Piotr Iwanowicz... O! tak; okazano nam dużo współczucia... ale byli tacy, którzy otwarcie radowali się z jego śmierci.. A potem, gdym zostawała samą z moją biedną matką, wszystko to wydawało mi się takim marnem, tak nie wartem ceny, jaką ona nieszczęsną płaciła.. Ale, skoro tylko dowiedziałam się, żeś pan przyjechał do Genewy, Kiryło Sidorowiczu, uczułam, że byłeś jedyną istotą, która mi może pomódz..

— W pocieszaniu zbolelej matki? Czy tak? — zapytał jej w taki sposób, że Natalja Haldin otworzyła szeroko swe ufne oczy. — Tylko, tu zachodzi kwestja podatności. Czy panj pomyślałaś o tem?..

— Dlaczego? — szepnęła Natalja Haldin miękko. — Któż mógł być podatniejszym niż pan.

Uczynił konwulsyjne poruszenie zniecierpliwienia, ale powściągnął się.

— Doprawdy! Tak zaraz, skoro tylko dowiedziałas się pani, że jestem w Genewie, jeszcze nie widząc mnie. Oto jeden więcej dowód tej ufnosci, która..

Nagle głos mu się zmienił.

— Ludzie są biednymi istotami, Nataljo Wiktorówno — wymówił z naciskiem. — Nie mają ani intuicji ani odczucia. Aby mózdz mówić tak jak należy, zrozpaczonej matce o jej utraconym synu, trzeba mieć jakieś doświadczenie w tym względzie, jakieś pojęcie o synowskich uczuciach. A ja go nie mam, jeżeli chceś wiedzieć prawdę. Masz panj do czynienia z „piersią nie ogrzaną żadnem przywiązaniem“ jak powiada poeta. To nie znaczy, żebym miał serce nieczułe — dodał ciszej.

— Jestem pewna, że pan masz tkliwe serce — rzekła panna Haldin miękko.

— A przynajmniej nie tak twarde jak kamień — ciągnął dalej takim

tonem, jak gdyby patrzył na to swe je serce, leżące w owej nieogranej piersi. — Ah, jak dowieść tego, to inna rzecz. Nikt nigdy nie żądał tego odemnie. Nikt, komu moja tkliwość byłaby się na coś przydała. A teraz przychodzisz pani. Pani! Teraz! Nie! Nataljo Wiktorówno! Zapóźno. Przychodzisz pani zapóźno. Nie spodziewaj się niczego odemnie.

Panna Haldin cofnęła się trochę, jak gdyby dostrzegła w jego twarzy zmianę, nadającą jego słowom znaczenie jakiegoś tajemnego uczucia, które oboje dzielili. Dla mnie, milczącego widza, wyglądali jak dwoje ludzi, którzy nagle uświadamiają sobie czar, który ich owładnął od chwili, gdy się ujrzeli po raz pierwszy. Gdyby jedno z nich spojrzęło było w moją stronę, byłbym otworzył drzwi i wyszedł, ale oni zdawali się zapominać zupełnie o mojej obecności; zostałem więc, czując się tak dalekim i obcym tym dwojgu, że wykluczało to wszelkij zarzut niedyskrecji z mojej strony.

Panna Haldin opanowała się pierwsza.

— Co to może znaczyć? — zapytała, jak gdyby mówiąc do siebie.

— To może znaczyć, że pani oddajesz się mrzonkom, podczas gdy ja zdołałem pozostać wśród rzeczywistości życia — naszego rosyjskiego życia.

— Te rzeczywistości są okrutne — szepnęła.

— I brzydkie. Nie zapominaj panj o tem — i brzydkie. Spójrzyj, gdzie zechcesz. Dokoła siebie, tu zagranicą, gdzie jesteś, a potem spojrzyj tam, skąd przybyłaś.

— Trzeba patrzeć poza terażniejszość — szepnęła.

— Ślepy to najlepiej potrafi. Ale ja, na nieszczęście urodziłem się widzącym. I gdybyś pani mogła wiedzieć, jakie dziwne rzeczy widziałem. Jakie nadzwyczajne i zdumiewające zjawiska!.. Ale po co mówić o tem.

— Przeciwnie; ja chcę mówić o tem z panem — zaprzeczyła z pogodną powagą. Nie zrażało jej ponure usposobienie przyjaciela brata, jak gdyby ta jego gorycz, ten hamowany gniew, były oznakami prawości. Widziała, że nie był przeciętnym człowiekiem, i może nie chciała, aby był innym, niż takim właśnie, jakim ukazywał się jej ufnym oczom.

— Tak, z panem — powtórzyła nalegająco. — Z panem bardziej, niż z kimkolwiek innym na świecie.

Lekki uśmiech zaigrał na chwilę na jej ustach.

— Pod pewnym względem jestem, jak moja biedna matka. Ja również nie mogę wyrzec się naszego ukochanego zmarłego, który, nie zapominaj pan, był dla nas wszystkim. Nie chcę nadużywać pańskiego współczucia, ale musisz pan zrozumieć, że w panu jedynie możemy znaleźć to, co pozostało z jego szlachetnej duszy.

Zrobił nagłe poruszenie.

— Idziesz pan, Kiryło Sidorowiczu? — zapytała.

— Ja? Czy idę? Gdzie? O tak, ale muszę powiedzieć panj najprzód..

Głos miał stłumiony i widocznem było, że mówił z trudnością, ze wstrętem prawie.

— Muszę panj opowiedzieć tę historję, którą usłyszałem dzisiaj..

— Znam ją już — rzekła smutnie.

— Znasz ją pani! Czy panj masz także korespondentów w Petersburgu?

— Nie. To Zofija Antonowna. Widziałam ją przed chwilą. Przysyła panu pozdrowienia. Odjeżdża jutro.

Spuścił nareszcie oczy, któremi wpatrywał się w nią, jak urzeczony. Ona również patrzyła w ziemię i gdy tak stali oboje w ostrem świetle, na tle nagich ścian przedpokoju, wyglądali jakby wyprowadzeni z umysłu, ze Wschodnich bezkresów pod obserwacją moich Zachodnich oczu.

Więc obserwowałem ich. I mówiłem sobie, że oczywiście musieli się zejść siostra i przyjaciel zmarłego. Nadzieje, pragnienia, sprawa Wolności, ich wspólne przywiązanie do Wiktora Haldina, moralnej ofiary autokracji — wszystko to musiało popychać ich ku sobie. Jej nieświadomość i jego osamotnienie, o którym tak dziwnie napomknął, musiały doprowadzić do tego.

I widocznem było, że już doprowadziły. Oczywiście. Ne ulega wątpliwości, że zanim się spotkali, musieli myśleć o sobie. Ona miała list ukochanego brata, który rozpalil jej wyobraźnię, a co się tyczy jego, wystarczyło, że ją zobaczył. Jedno mnie tylko dziwiło, to jego posępne trzymanie się zdala w obec jej tak wyraźne objawiającej się życzliwości. Ale był młodym, i pomimo całego zaprzepaszczenia się w rewolucyjnych sprawach, nie był ślepym. I oto przejrzał nakoniec. Nie mogłem tłumaczyć sobie inaczej znaczenia tej jego wizyty o tak późnej porze, boć przecież nie było nic pilnego w tem, co jej miał powiedzieć! Ale przekonał się, że potrzebuje jej; a ona doświadczała tego samego uczucia. Po raz

drugi widziałem ich razem i czułem, że gdy się znówu spotkają, już mnie pomiędzy nimi nie będzie. Przestanie istnieć dla tych dwojga młodych.

Gdy tak rozmyślał, Natalja Haldin opowiadała zwięźle Razumowowi nasze wędrówki z jednego końca Genewy na drugi. Mówiąc, podniosła ręce nad głowę, by rozwiązać welon i ruch ten odsłonił na chwilę czarujący wdzięk jej młodzieńczej postaci, przybranej w najskromniejszą żałobę. W przezroczystym ciemiu, padającym od kapelusza na jej twarzyczkę, jej oczy błyszczały jak diamenty. Głos jej o przeszłym brzmieniu był spokojny; mówiła szybko, szczerze, bez najbliższego zakłopotania. On zaś, stojąc ze spuszczoną oczyma, wyglądał jak ktoś, kto słucha raczej muzyki niż mowy.

I gdy umilkła, zdawał się słuchać jeszcze, jak gdyby pod urokiem cudnej jakiejś melodji.

Ocknął się jednak, mrużąc:

— Tak, tak. Nie uroniła ani jednej łzy. Zdawała się nie słyszeć tego, co mówiłem. Mogłem mówić, co bym tylko chciał. Wyglądała, jak gdyby już nie należąca do tego świata.

Panna Haldin westchnęła głęboko.

— Ach! pan nawet nie wie, jak z nią już źle. Doszło do tego, że biedaczka spodziewała się zobaczyć go!

Welon wysunął się z jej rąk; załamała dłonie rozpacznie.

— I skończy się na tem, że go zobaczy! — wykrzyknęła.

Razumow podniósł szybko głowę i objął ją przeciągłem, zamyślnym spojrzeniem.

— Hm! To możliwe — mruknął jakimś szczególnym tonem, jak gdyby wyrażając swój pogląd na coś. — Ciekawy jestem co...

Urwał nagle.

— I wtedy będzie po wszystkim. Umysł jej się obłąka, a z nią pójdzie dusza.

Panna Haldin rozplotła ręce i opuszczała je wzdłuż ciała.

— Tak pani sądzisz? — zapytał z przejęciem. — Nie! Widma zmarłych nie przynoszą nam ani pociechy ani prawdy — dodał po chwili milczenia. — To ja mogłem jej powiedzieć coś prawdziwego; naprzykład, że brat pani chciał się fatować ucieczką. Co do tego nie może być żadnej wątpliwości. Ale nie uczyniłem tego.

— Nie uczyniłeś pan tego. Cemu?

— Nie wiem. Inne myśli przysły mi do głowy — odpowiedział. Wyglądał tak, jak gdyby liczył uderzenia własnego serca, podczas, gdy oczy jego tkwiły uparcie w twarzy Natalji Haldin. — Pani nie było — ciągnął dalej. — Postanowiłem nigdy już więcej nie widzieć pani.

Te słowa zatamowały jej oddech.

— Pan! Czy to możliwe?

— Co jest niemożliwego na tym świecie! A co się tyczy matki pani, to sądzę, że nie powiedziałem jej przez ostrożność. Mogłem też zapewnić ją, że w ostatniej rozmowie, jaką prowadził jako człowiek wolny, wspomniał was obie...

— Tę ostatnią rozmowę prowadził z panem — przerwała mu wzruszonym głosem. — Kiedyś, musisz pan...

— Tak, ze mną. O pani powiedział, że masz ufne oczy. I nie wiem, dlaczego nie mogłem zapomnieć tych słów. One znaczyły, że niema w pani ani fałszu, ani obłudy, ani podejrzliwości. — niczego, co by ci mogło dać pojęcie o żyjącem, działającym, mówiącem kłamliwie, gdyby ci kiedykolwiek zaszło drogę. Że wskutek tego jesteś przeznaczoną na ofiarę... A! co za szatański zbieg okoliczności!... — wykrzyknął rozpacznie.

Panna Haldin przycisnęła rękę do piersi. Żalobny welon leżał pomiędzy nimi na podłodze.

Ruch jej oprzytomnił go. Popatrzył z nateżeniem na jej rękę i znów podniósł oczy ku jej twarzy. Ale nie dał jej dojść do słowa.

— Nie rozumiem pani? To bardzo dobrze.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli odzyskał spokój.

— Tak więc rozmawiałaś pani z Zofją Antonowną?

— Tak. Zofja Antonowna powiedziała mi — zaczęła panna Haldin i urwała, a coraz większe zdumienie malowało się w jej szeroko otwartych oczach.

— Hm!... To bardzo poważny wróg — mruknął, jakby sam do siebie.

— Sposób, w jakiej wyrażała się o panu, był nadzwyczaj przyjacielski — zauważyła panna Haldin, poczekawszy chwilę.

— Tak pani sądzisz? A to najinteligentniejszy umysł z całej bandy... Rzeczy tedy idą jak najlepiej. Wszystko się składa, żeby... Ach!... ci spiskowcy! — mówił z wolną pogardliwym tonem — owładną oni panią, ani się spostrzeżesz. Wie pani, Nataljo Wiktorowno, że ja sam z największą

trudnością uchroniłem się od przesądnej wiary w działającą Opatrzność. Jest w tem coś nieprzepatnego... Albo, zostaje druga ostateczność. Diabeł we własnej osobie. Ojciec Kłamsiwa, nasz narodowy patron, nasz domowy bóg, którego zabieramy z sobą, gdy jedziemy zagranicę... Ale co do mnie nie jestem dość prostoduszny... w tem rzecz cała... Powiniennem był to wiedzieć... I wiedziałem! — dodał tonem rozdzierającego bólu. — Wiedziałem!

— Ten człowiek zwarjował! — pomyślałem z przerażeniem.

I w istocie wyglądał tak miesamowicie, a jednocześnie tak okrutnie cierpienie malowało się w jego trupio-bładej twarzy i pełnych okropnej rozpaczycy oczach, że budził trwogę i litość. Co do mnie jednak, to przede wszystkim współczułem panie Haldin już i tak głęboko dotkniętej w jej najdroższych uczuciach. Stała przed nim nieruchoma i widocznem było, że walczy z budzącem się w niej powątpiewaniem i trwogą.

— Co panu jest, Kiryło Sidorowiczu? — wykrzyknęła z odcieniem tkliwości w głosie. Nic nie odpowiedział; wpatrzył się w nią tylko, jak gdyby wszystkie jego władze zogniskowały się w jednym uczuciu bezgranicznego zachwytu i uwielbienia.

— Dlaczego patrzysz pan na mnie w ten sposób, Kiryło Sidorowiczu? Ja byłem od początku szczerą z panem. I chciałabym teraz jasno zdać sobie sprawę...

Umilkła, jak gdyby chcąc mu dać czas do powiedzenia wreszcie czegoś, co byłoby godne jej egzaltowanej wiary w przyjaciela brata. Ale on milczał; a milczenie to było jakby oznaką nagłego postanowienia.

— Wyczekiwałam pana z takim upragnieniem. Ale teraz, gdy pan, powodowany dobrocią, przyszedłeś do nas, przerażasz mnie. Mówisz tak zagadkowo. Zupełnie, jakgdybyś coś krył przedemną.

— Powiedz mi pani, Nataljo Wiktorowno — wymówił wreszcie dziwnym, bezdźwięcznym tonem — kogo tam widziałas?

Drgnęła, jak gdyby zawiedziona w oczekiwaniu.

— Gdzie? U Piotra Iwanowicza? Był pan Laspara i jeszcze trzy osoby.

Dalszy ciąg nastąpi.

